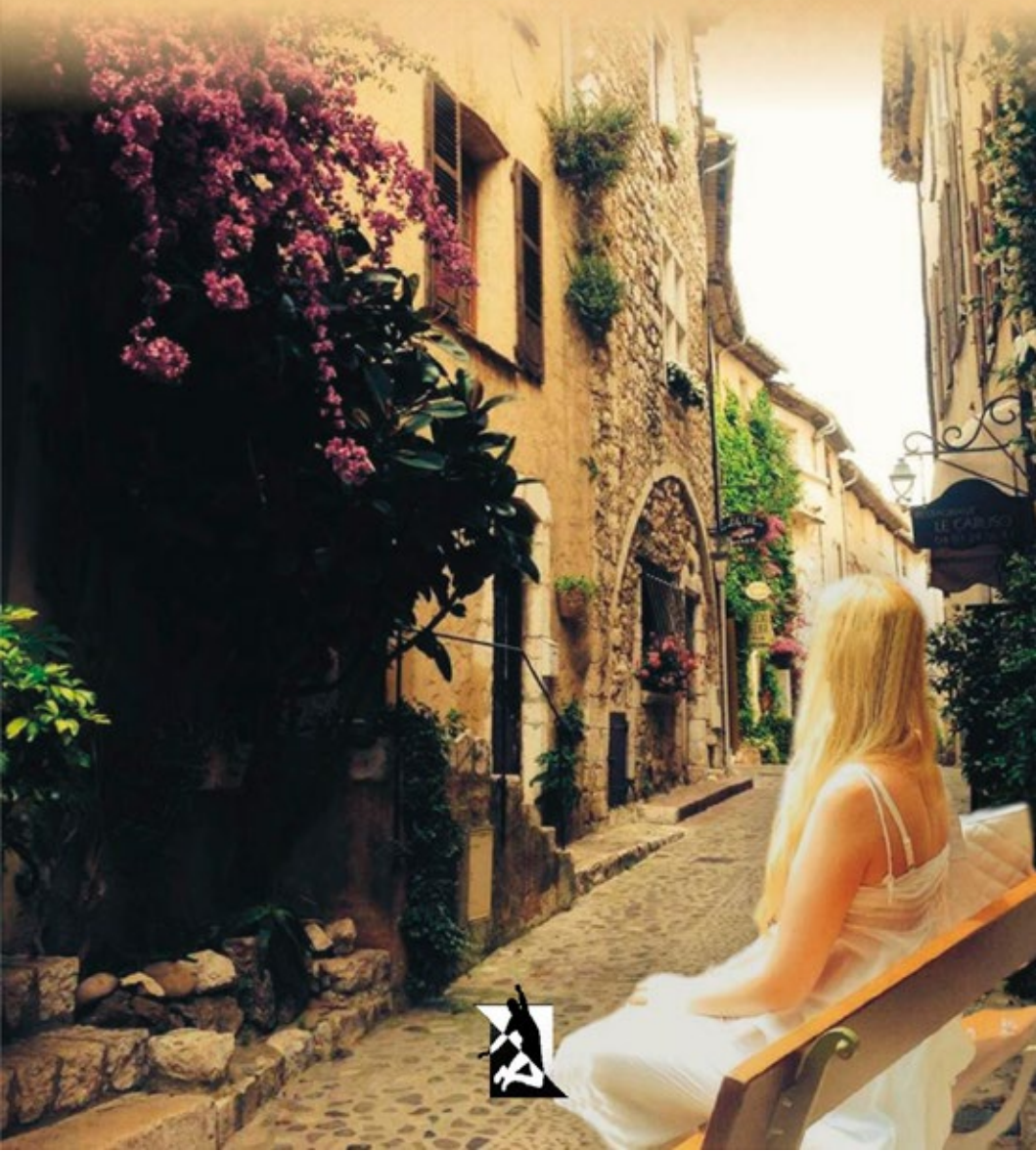


# Klaudia Kopiasz

## W głąb lawendowych uliczek



Klaudia Kopiasz  
„W głąb lawendowych uliczek”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2014  
Copyright © by Klaudia Kopiasz, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski  
Projekt okładki: Klaudia Kopiasz, Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.  
Korekta: Paweł Markowski

ISBN: 978-83-7900-230-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.  
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Spis rozdziałów

Prolog . . . . .	4
Rozdział I . . . . .	7
Rozdział II . . . . .	18
Rozdział III . . . . .	23
Rozdział IV . . . . .	30
Rozdział V . . . . .	39
Rozdział VI . . . . .	53
Rozdział VII. . . . .	67
Rozdział VIII . . . . .	76
Rozdział IX . . . . .	92
Rozdział X . . . . .	104
Rozdział XI . . . . .	113
Rozdział XII . . . . .	122
Rozdział XIII . . . . .	130
Rozdział XIV . . . . .	140
Rozdział XV . . . . .	145
Rozdział XVI . . . . .	150
Rozdział XVII . . . . .	158
Rozdział XVIII. . . . .	162
Rozdział XIX . . . . .	168
Epilog . . . . .	173

*Jem świeże winogrona z targu i fioletowa słodycz rozplywa  
mi się w ustach.  
Nawet pachną purpurowo.  
Chciałbym zostać dłużej, ale dzwony przypominają mi  
o mijającym czasie.  
Zamiast zwyczajnego „ding-dong”, dzwony dźwięczą  
„ding-dang-dong”.*

Frances Mayes, „Pod słońcem Toskanii”

## Prolog

**Z**e smakiem apetycznego połączenia sera Reblochon i winogron w ustach, czekałam, aż powoli wyłoni się przede mną Lazurowe Wybrzeże. Zachwyty dotykał mojego wnętrza, gdy ukazywały się urzekające pasma gór, otulonych bujną zielenią, potężne drzewa – najczęściej dęby korkowe – których gałęzie spletały się, tworząc bajeczny baldachim. Słońce, mimo późnej pory, jaśniało nad majaczącym w oddali Morzem Śródziemnym i lawendowymi polami, roztaczającymi oszałamiający zapach.

Czasami nawet, nie mogąc powstrzymać dreszczyku euforii, wysiadałam z samochodu, by przyjrzeć się dokładniej uroczemu, zapierającemu dech w piersiach pejzażowi, nieznacznie muśniętemu pędzlem człowieka. Wspaniałe lasy, w których poszukuje się trufli, oczarowały mnie intensywną zielenią, bogactwem wychylających się przed nimi ziół. Do dziś ten niezwykły, ostry

zapach dotyka moich nozdrzy, przyczynia się do stwarzania niepowtarzalnych chwil, pełnych kontemplacji Słońca Południa.

W imię imaginali pozwalałam, by na nowo odtwarzały się obrazy minionych dni... Zachwycające domki o pastelowych okiennicach nieśmiało chyliły się w stronę lawendy. Ich zewnętrzne ściany, przesiąknięte wonią gorącego pieczywa, zdobiły delikatne kwiaty, które przeplatane oliwkowymi liśćmi piętrzących się wokół krzewów, tworzyły niesamowitą atmosferę. W pobliżu stały zwykle palmy zwane daktylowcami kanadyjskimi, oraz drzewa cytrusowe, kuszące soczystością wiszących na nich owoców. Nie brakowało również róż... Choćby tych subtelnych Rosa Mundi, bądź czerwonych, nadających miejscu romantycznego wydźwięku.

Mogłabym rzec, iż zakochałam się w tej krainie winem płynącej, która na myśl przywodzi roziskrzone wybrzeże i w oddali kołyszące się na wietrze lawendowe łany. Zauroczyły mnie także wąskie, idylliczne uliczki, urzekające misternie wykończonymi balkonikami czy kopułami, oraz lśniące barwami złota i błękitu plaże, wzbogacone blaskiem luksusu.

Oto Lazurowe Wybrzeże w pełnym słońcu.

Teraz, przelewając swoje przemyślenia na papier, przesiaduję w maleńkiej tawernie w Nicei, w samym sercu Zatoki Aniołów. Porośnięte winoroślą kolumny oraz hebanowe stoliki, nakryte pięknie haftowanymi obrusami, otaczają klientelę. Kelner z uśmiechem na brzoskwiniowej twarzy trzyma w dłoniach grę cytrynowych i zielonkawych smaków. Blaski gwiazd na szafirowym firmamencie wydają się bezwiednie tonąć pośród różanych bąbelków szampańskich rozkoszy. Szelest sukien pań, połączony z brzmieniem wypowiedzianych przez nie słów, stanowi idealną

*kompozycję nicejskich doznań. W tle słyhać delikatną melodię wydobywającą się z akordeonu... To ubrany w garnitur Francuz pozwala instrumentowi uwolnić niebywale dźwięki.*

*Zafascynowana, chłonę uroki Południa, próbując odnaleźć siedem najpiękniejszych dni. Dni, które na zawsze pozostaną w mojej pamięci, okraszone miłością, szczęściem i wspaniałymi widokami. Na razie oddaję się podróżom...*

*Niczym strugi deszczu ocierające się o ściany omdlałych domostw, wtulam się w ramiona lawendowych wrażeń w nadziei, że owe strugi zamienią się w spadające gwiazdy.*

# Rozdział I

– Czegoś mi brakuje... – westchnął ciężko, wpatrując się w swoje odbicie w błękitnej tafli.

Oliver, gdyż takie nosił imię, uznawany był za prawdziwego szczęściarza. Składało się na to wiele czynników – dobrze płatna praca, choć w obdzierającym z godności pisemku, szpanerskie mieszkanie w jednej z nowojorskich dzielnic oraz piękna dziewczyna, której wkrótce miał się oświadczyć w rodzinnej rezydencji na Florydzie. Mimo to mężczyzna próbował uciec od rutyny dnia codziennego, nawet od całej terażniejszości. Odnosił wrażenie, że wybrał niewłaściwą drogę albo – ujmując to inaczej – pozwolił na zatracenie się w wirze luksusu, pochopnie podejmowanych decyzji, niekończących się starań o wyższe stanowisko w biurze. Czasami wyobrażał sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby zamiast studiów na Harvardzie, co na kształt zwyczaju zakorzeniło się w rodzinie Blake’ów, wybrałby którykolwiek z interesujących kierunków na uczelni w Padwie. Zapewne nigdy nie umawiałby się z przyjaciółmi na grę w golfa. Odnalazłby natomiast we Włoszech miłość do wąskich, krętych uliczek, spowitych kwiatami, a także do gotowania pod osłoną winorośli.

Teraz, gdy jego myśli tonęły w popołudniowym deszczu, nic nie miało większego znaczenia. Siedząc na drewnianej ławce pod majestatycznym dębem, którego liście swobodnie opadały na intensywnie zieloną trawę, próbował odnaleźć

szczęście w tym, co dotychczas stworzył w swoim życiu. Pokręcił jednak ze zrezygnowaniem głową, spojrzawszy po raz kolejny na swoje odbicie w płynącej zaledwie parę centymetrów od jego stóp rzece. Nagle stanął dumnie z przewieszoną na ramieniu marynarką. Wizerunek dżentelmena niezwykle do niego pasował. Garnitur, jaki miał na sobie, nosił z taką lekkością jakby się w nim urodził. Jego brązowa opalenizna, podkreślająca orzechowe oczy, była idealnym dopełnieniem tegoż ubrania.

Dlatego też był obiektem westchnień wielu kobiet, które marzyły o choćby jednym jego spojrzeniu, czekały na moment, aż uraczy je kilkoma słowami. Przechodząc obok niego, starały się z całych sił, aby zwrócił na nie uwagę. Mężczyzna doskonale o tym wiedział, co więcej – celowo upiększał swój wizerunek. Pewny siebie, dumny, a nawet szarmancki – te trzy cechy dawały mu męskiego uroku, pozwalały wierzyć, że każda kobieta byłaby gotowa zrobić dla niego wszystko.

W pewnym momencie postanowił pospacerować wzdłuż alei. Czas mijał, a Oliver wpatrywał się w okalające dróżkę wonne kwiaty, mieniające się barwami lata. Niekiedy zatrzymywał się, by dokładniej im się przyjrzeć, dotknąć delikatnych płatków, poczuć zapach subtelności ulatniający się z ich niezwykle kruchej struktury.

Powietrze o tej porze było lekkie niczym wiatr we mgle. Wokół, w pajęczynie dźwięków, słyszało się śpiew ptaków, szum wody, kroki przechodniów. Tutejsze życie, upojone ciszą, wydawało się rozkwitać w milczeniu nieustannie płynącego czasu.

Nagle, przyszła mu do głowy myśl, by wybrać się do księgarni. Przyznał, że rzadko się tam pokazywał. Od pewnego



czasu przestał czytać książki, wołał raczej pochłaniać recenzje. Zresztą, w tygodniu nie mógł sobie pozwolić na taką przyjemność, zwykle do późna zostawał w pracy.

Wędrując wzdłuż przydrożnych sklepików, usytuowanych w pobliżu alei, przez chwilę przyglądał się jeszcze oknom wystawowym. Widział w nich kobiecą biżuterię lśniąca w odbiciach słońca, skórzane torby najlepszych projektantów... Butiki z najdroższymi towarami przeplatały się z maleńkimi kafejkami w tradycyjnym, amerykańskim stylu. Czasem można było poczuć unoszący się w powietrzu zapach kawy, idealnej na lekkie, poranne śniadanie pełne rozważań.

– Oto jest – pomyślał z delikatnym uśmiechem na twarzy.

Księgarnia wychyliła się nieśmiało z drżącej mgiełki purpurowych kwiatów. Znajdowała się w kremowym budynku z wieszonym szyldem w barwie tokańskiego złota. Zielone, nieco podstarzałe okiennice sprawiały, że wyglądała niezwykle uroczo.

Oliver bez zastanowienia podszedł do hebanowych drzwi, by zapukać. Ku jego zdziwieniu otworzyły się same, ukazując widok na długi, otulony szarością hall. Rozejrzał się przez chwilę zanim wszedł do środka. Tajemniczość miejsca, w którym przebywał, rozbudziła jego wyobraźnię. Zapewne fakt, iż mógłby spotkać tutaj Harrego Pottera, nie wywołałby w nim żadnych skrajnych emocji. A jednak, czekała na niego zupełnie inna osoba... Był to mężczyzna w podeszłym wieku. Jego specyficzny typ urody, elegancki ubiór w postaci połyskującego garnituru oraz kieliszek czerwonego wina trzymanego w dłoni, zdradzały, że jest Włochem. Na widok młodego mężczyzny zaklasnęła w dłonie, wypowiadając przy tym niezwykle charyzmatycznie „buongiorno”.

– *Good morning!* – odpowiedział Oliver, błędząc wzrokiem wśród drewnianych półek.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał życzliwie, po czym wskazał palcem na wino. – Napije się pan?

– Dziękuję – odmówił. – Szukam jakiejś ciekawej książki, ale takiej... Wie pan. Niebanalnej – urwał. – Ostatnio czytałem, gdy byłem na studiach. Po latach uznałem, że warto byłoby znów powrócić do tamtych chwil.

– Rozumiem. Jakie wino pan lubi? – spytał, odrywając się od tematu.

– Nie, dziękuję, nie piję – odpowiedział.

– Proponowałem wcześniej, teraz chciałbym wiedzieć. Woli pan białe? Może czerwone czy... różane z Prowansji?

– Szczerze powiedziawszy, zawsze smakowało mi Chardonnay. Uwielbiam tę lekką nutę połączoną ze słodkawym posmakiem burgundzkiego lata.

– Doskonale – uśmiechnął się. – Sądzę zatem, że byłby pan zachwycony książką pełną lokalnych smaków i zapachów, w której słowa mieszają się z klimatem opisywanego miejsca. Nie jest to literatura nazbyt wymagająca, wręcz przeciwnie – idealna na gorące popołudnie, bądź idylliczny wieczór w blasku księżycy.

– Może ma pan rację – rozpromienił się. – W każdym razie proszę mi opowiedzieć o takich książkach.

– Cóż. Większość z nich ma w sobie coś niezwykłego, coś, co czyni je jeszcze bardziej wyjątkowymi. Czasami są to słowa tworzące witraż uroczych pejzaży, bądź smakową fatamorganę. Musi pan rozgryźć tę zagadkę sam – odparł, topiąc wzrok w winie. – Mówić dalej, czy pokazać panu najbardziej interesujące powieści?

- Proszę mówić dalej – ożywił się. – Czy pan podróżuje?
- Zanim zacząłem studiować, mieszkałem na Capri. Może kojarzy pan tę wysepkę pełną cytryn i błękitnych grot, w której smak kurczaka idealnie splata się ze schłodzonym limoncello?
- Proszę wybaczyć, ale niewiele wiem o Italii – odparł, czerwieniąc się.
- Nic nie szkodzi. Każdy od czegoś zaczyna – westchnął.
- Na czym skończyłem?
- Na wyspiarskim życiu – wtrącił.
- Ach! Pamiętam, jak poznałem pewną Francuzkę, która wybrała się na wakacje na Capri. Opowiadała mi o urokach Prowansji i Lazurowego Wybrzeża – regionu słynącego z lawendy, niepowtarzalnych win, i cykad. W sumie, nie wiem, co bardziej mnie zauroczyło – jej niepowtarzalna uroda, czy pełne zachwyty słowa. Wówczas, po pewnym czasie, postanowiłem się tam wybrać i ją odszukać. Niestety, ślad po niej zaginął, a ja, zrezygnowany, wyruszyłem aż za ocean.
- Nie brakuje panu słońca? Tutaj często pada deszcz.
- Zrozumiałem, że najpierw powinienem był zdobyć wykształcenie, posmakować świata, by zatęsknić za ojczyzną. Nieraz dotykał mnie ogromny ból, który przypomina o najpiękniejszych chwilach życia, o zapachu złocistych pól, o domu rodzinnym.

Oliver uśmiechnął się blado. Na chwilę zawiesił wzrok na kremowych kolumnach, otaczających wybudowany w antycznym stylu dziedziniec. Małeńkie patio, w którym właśnie przesiadywał, obfitowało w niesamowicie wonną lawendę i oleandry. Mimo, iż wyglądały na bardzo wątłe (ze względu na nieprzyjający klimat), były nieodłącznym elementem dziedzińca.

W tamtym miejscu panowała niesamowita atmosfera. Mężczyźnie wydawało się, że znalazł się w uroczej krainie doznań, gdzie czas płynie powoli, niezakłócony przez pośpiech, a uśmiech tryumfuje nad zmartwieniami.

– Jak tu... urzekająco – dodał, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– To słodkie wspomnienie młodzieńczych lat – odparł z uśmiechem na twarzy. – Nigdy nie sądziłem, że otworzę księgarnię. W dzieciństwie marzyłem o grze na fortepianie... Uwielbiałem wpatrywać się w smukłe palce mojej mamy, które płynnie wędrowały po klawiszach.

– Ja nie opanowałem gry na żadnym instrumencie. Za to poświęciłem się rugby – westchnął.

– Niesamowite uczucie, kiedy biegnie się z piłką w dłoni, widząc, jak powoli zatrzymuje się w oczach świat. Nagle zaczyna oszalać nas zapach trawy, a z czasem zauważyć można poruszające się na wietrze chorągiewki. – rozmarzył się Włoch. – Jest pan sportowcem, jeśli mogę zapytać?

– Nie. Pracuję w NY Voice & Choice. Jestem zastępcą redaktora naczelnego.

Starszy mężczyzna pokiwał znacząco głową, na chwilę oddając się refleksjom. Chrząknął zanim wykonał ruch. Mianowicie zmierzał w stronę jednej z półek, zapewne w poszukiwaniu jakiejś z książek. Oliver przyglądał mu się z niekrytą ciekawością.

Wiedział, że za chwilę czymś go zaskoczy.

Nie mylił się.

– Proszę przejrzeć – rzekł. – Nie sugeruję, że przypadnie od razu do gustu, dlatego warto najpierw przeczytać zamieszczoną z tyłu recenzję.

– Dziękuję – odpowiedział. – *W głąb lawendowych uliczek...* Czyżby to o Francji?

– Nie tylko – wtrącił z zagadkową nutą w głosie.

Mężczyzna westchnął, chwyciwszy książkę w swoje dłonie. Jego uwagę przykuła okładka ukazująca szereg kamiennych domków. Wszystko utrzymane zostało w stonowanych barwach, jedynie zieleń otulająca budyńki, niesamowicie odznaczała się pośród brązów.

Recenzja wskazywała na to, iż Autorka rozkoszuje się pięknem Południa. Jej opisy dotyczyły przede wszystkim winobrania, kolacji w romantycznych trattoriach, a nawet leniwego poznawania smakowitych, przesiąkniętych historią, bądź wzbogaconych o niepowtarzalną florę zakątków. Całość miała spleść się w jeden warkocz, w którym pisarka odnalazłaby siedem najpiękniejszych dni. Dni – jak sama wspomniała – przepięknych prawdziwą miłością, szczęściem, niebywałymi widokami.

– Prawdziwa miłość?! – prychnął Oliver. – Chyba pan żartuje. To ma być odzwierciedlenie Chardonnay?

– Niech pan przyzna. Nigdy jej pan nie doznał. Możliwe, że przez chwilę był pan zakochany, ale... – urwał.

– Przepraszam, nawet się nie przedstawiłem – wtrącił. – Nazywam się Oliver Blake.

– Giovanni Coletti. Miło mi – odparł entuzjastycznie. – A teraz proszę usiąść wygodniej i opowiedzieć mi o tej miłości. Jaka pana zdaniem naprawdę jest?

Amerikanin posłusznie wykonał to, co zaproponował mu starszy mężczyzna. Zacerpnąwszy powietrza, zaczął mówić:

– Wie pan. Rok temu poznałem w barze moją Nicole. Siedziała przy ladzie i popijała mojito z takim spokojem, jakby nie

istniała żadna bariera czasu. Już w pierwszej chwili zachwyce-  
łem się jej urodą. Nie można się temu dziwić. Jest niezwykle  
piękną i utalentowaną modelką, która co tydzień wyjeżdża na  
sesje zdjęciowe. Łączy nas uczucie, w swoim towarzystwie czu-  
jemy się dobrze, kilka razy w miesiącu wychodzimy wspólnie do  
kina czy na kolację. Nie udaje nam się to w tygodniu, ponieważ  
oboje ciężko pracujemy. – Oliver oderwał na moment wzrok od  
mężczyzny. – Taka jest moim zdaniem miłość. A co pan na to?

Włoch uśmiechnął się życzliwie. W jego oczach pojawiły  
się iskierki. Przez chwilę nic nie mówił. Jego milczenie przy-  
pominało bezkresny ocean, w którym na dnie leżą zapomniane  
diamenty słów.

– Drogi Oliverze, kiedy przechadzasz się nowojorskimi ulicz-  
kami, czy dostrzegasz pary staruszków trzymających się za ręce,  
którzy przebrnęli przez mgłę minionych lat, rozkwitając w tym  
uczuciu? – Gestykulacja i ogromna pewność siebie podkreślały  
wagę jego słów. – Nie tylko oni dają obraz prawdziwej miłości,  
tej rozpalającej serce niczym włoskie słońce... Spróbuj wyobra-  
zić sobie zakochanych, ich spojrzenia, zwilżone kontemplacją  
usta, twarze utkane z nici zauroczenia. Zaczynj wizualizować ich  
na moście, podczas wyznawania miłości. To jest prawdziwa mi-  
łość, jakże różna od pożądania, odporna na działanie zewnętr-  
znych czynników, skłonna do poświęceń, pozbawiona egoizmu.

Giovanni spojrzał na zamyślnego Amerykanina. Wyda-  
wał się on lekko oszołomiony, w jego źrenicach można było  
dostrzec cień zaskoczenia.

– Oliverze, nie zmuszam cię, ale przeczytaj proszę tę książ-  
kę. Jeśli po jej lekturze choć trochę odmieni się twoje życie,  
odwiedź mnie znów. Przygotuję wówczas Chardonnay.

– Dziękuję panu – westchnął, nieznacznie unosząc kąciki ust. – Ile płacę?

– Na razie nic. Jeśli powieść cię nie zaciekawi, oddasz mi ją z powrotem. Na razie radziłbym ją zatrzymać.

– Jeśli jednak okaże się skarbem, nie będę mógł się odwdziaczyć – oznajmił z nutą sarkazmu.

– Wystarczy, że zaprosisz mnie na obiad w Zatoce Aniołów – odparł tajemniczo. – Miłego dnia.

– Miłego dnia, panie Coletti.

Oliver, posławszy ostatni uśmiech tego dnia, opuścił leniwie księgarnię. Przez chwilę wpatrywał się jeszcze w wiszący na ścianie, obraz przedstawiający tokańskie wzgórza. Westchnął ciężko, jakby chciał przegnać myśli o podróżach, po czym powędrował przez długie, otulony ciemnością hall. Odnosił wrażenie, że właśnie na jego drodze pojawił się nauczyciel życia o nieco niekonwencjonalnych metodach nauczania. Zaintrygowany winem w złocistym kieliszku, który przez cały czas trzymał ów mężczyzna w dłoni, zaczął rozmyślać, jak to jest urodzić się tam, gdzie nieprzerwanie świeci słońce, a winorośl rozciąga się daleko, tańcząc na wietrze.

Szedł po raz kolejny przez aleję. Widział, jak unosi się z wdziękiem pośród blasków gwiazd. Widział nawet więcej... Kołyszące się delikatnie na smukłych gałęziach liście połyskujące zielonymi barwami, wonne kwiaty przygotowujące się do słodkiego snu... Czuł, jak ta magia doznań powoli oplata jego serce.

Usiadł na chwilę na ławce. Wyjął z papierowej torebki książkę, którą polecił mu Giovanni.

– Sophie D'or – wypowiedział z namaszczeniem imię i nazwisko pisarki widniejące u góry. – Co takiego kryjesz za okładką?

Przymknął ze zmęczenia oczy, po czym zaczął czytać prolog powieści. Już pierwsze słowa okraszone były smakami, doprawione opisami wspaniałych widoków Lazurowego Wybrzeża. Oliver sunął powoli, wzdłuż bujnie rosnącej lawendy i lasów pełnych dębów korkowych. Coraz bardziej pochłonięty tą idyllą, kreowaną przez kobiece pióro, nawet nie zauważył jaśniejącego na firmamencie księżyca.

Dopiero słowa o miłości, takiej, która niczym diament błyszczy pośród fal wiecznego zakochania, sprawiły, że mężczyzna na chwilę oderwał się od czytanej stronicy. Mrugnął, nie kryjąc swojego oburzenia. Pomyślał wtedy o związku z Nicole. Uznał, że taka miłość nie istnieje. Przecież on i jego dziewczyna mieli tysiące powodów do tego, aby coś podobnego stworzyć. Jednak w głębi duszy czuł, że czegoś mu brakuje. Czy tego właśnie szukał? Czy potrzebował powiewu nowego uczucia, tak subtelnego i delikatnego jak poranna rosa? Jeszcze nie wiedział. Nie był do końca przekonany, co do słów starszego mężczyzny i Autorki, choć zdawał sobie sprawę, że mają magiczną moc.

Kiedy powrócił do nocnej lektury, odniósł wrażenie, że mimo jego niedowierzania, Autorka go zachwyciła. Nie wiedział, w czym tkwił urok jej słów – czy w obfitujących w letnie obrazy opisach, czy w bezkresnym menu lokalnych smaków. Z czasem zaczął mknąć pośpiesznie po żółtych kartkach w celu rozkoszowania się jeszcze bardziej słodczą jej słów, nieodpartym, oplecionym romantycznością aspektem życia.

– Siedem dni – wyszeptał. – Dlaczego nie osiem, dziesięć, tysiąc? – pytał samego siebie, mimo wiedzy, że nie otrzyma odpowiedzi.



*Pełna wrażeń noc, która zdaje się wibrować od spojrzeń gwiazd, tonących w granatowym morzu przemyśleń, staje się idealnym akompaniamentem dla gry apetytu. Przez chwilę pozwalam, by smak sosu prowansalskiego wirował w gardle jak w zaklętym tańcu, wyzwalając płomyki wspomnień. Chwytam jeden z nich w nadziei, że gdzieś w oddali ujrzę zbłąkaną, przebitą smutkiem latarnię, której mogłabym nadać nieco światła.*

Oliver uśmiechnął się, czytając te słowa.

– Cóż, w przeciwieństwie do pani Autorki, muszę zadowolić się „przepyszną” rzeką – powiedział do siebie cichym tonem.